WSPÓŁPRACA
DOMU ZE SZKOŁĄ POWSZECHNĄ

MIESIĘCZNIK
OPIEK SZKOLNYCH M. ST. WARSZAWY

ROK II KWIECIEŃ—MAJ Nr 8—9

1 9 3 9

TREŚĆ:

REDAGUJE KOMITET — Redaktor odpow. SZYMON KOŁAKOWSKI

WYDAWCA: RADA SZKOLNA m. st. WARSZAWY

Prenumerata roczna Zł 3. — Pojedynczy numer gr 30

Ceny ogłoszeń: cała strona 100 zł; 1/2 str. 60 zł; 1/4 str. 30 zł; 1/8 str. 15 zł.

Adres REDAKCJI i ADMINISTRACJI: Warszawa, Sienkiewicza 14 m. 14, tel. 6.02.27.

Konto czekowe w P. K. O. 50762 — Redakcja rękopisów nie zwraca

Rob. Spółdz. Pracy Graf. „Drukujemy" W-wa Daniłowiczowska 4, tel. 6-01-31

WSPÓŁPRACA

DOMU ZE SZKOŁĄ POWSZECHNĄ

MIESIĘCZNIK OPIEK SZKOLNYCH m. st. WARSZAWY

ROK II KWIECIEŃ—MAJ 1939 Nr 8—9

ZAGADNIENIA OGÓLNE

Gdy staniemy przed wyborem zawodu...

Gdyby można było zajrzeć do myśli i uczuć ludzkich, zobaczylibyśmy u wielu ojców i matek jednakowe pragnienia i jednakowe troski — co robić dalej z naszym dzieckiem, jaki zawód mu wybrać, do jakiej szkoły skierować na dalszą naukę.

Jest to zagadnienie wielkiej wagi dla wszystkich — młodzieży, rodziców, państwa.

Młodzież ma sobie wybrać pracę, w którą włoży wysiłki twórcze całego życia. Rodzice przez swoją radę i pomoc albo przyczynią się do radości swego dziecka przy odpowiednio wybranym zawodzie, albo patrzeć będą na zgorzknienie i niezadowolenie przy zawodzie nieodpowiednim. Państwo w ogólnym swoim dorobku będzie miało ludzi dzielnych i pożytecznych lub bezwartościowych, przy nieodpowiednim dla nich warsztacie pracy.

Sprawa wyboru zawodu jest jasna i łatwa tam, gdzie wchodzą w grę wyraźne zdolności i zamiłowanie. Ale staje się bardzo trudną, jeśli tych zdolności i zamiłowania nie ma, a trzeba wybrać zawód „na zimno".

W każdym wypadku jednak trzeba brać pod uwagę szereg okoliczności: 1) zdolność i zamiłowanie, 2) zdrowie dziecka, 3) wrodzone usposobienie, 4) warunki materialne rodziny, 5) potrzeby społeczeństwa, 6) przewidywane powodzenie materialne.

Gdyby nawet zdolność i zamiłowanie były wyraźne, to i wtedy trzeba brać pod uwagę wszystkie inne okoliczności.

A jeśli dziecko nasze samo nie wie, do czego ma ochotę?... Pomóżmy mu wtedy wniknąć w siebie, zastanowić się, poradźmy się wychowawców. Bo nie ma nic smutniejszego, jak przymus lub obojętność w pracy zawodowej — to przecież udręka na całe życie. A na pewno po głębszym zastanowieniu się każdy znajdzie u siebie ochotę do jakiejś pracy.

Stan zdrowia i ogólnego wyglądu ma duże znaczenie. Są zawody, przy których przeszkadza nadmierna otyłość, np. lotnictwo. Brak słuchu zmusza do wyboru zawodu, przy którym słuch nie odgrywa, wielkiej roli. Przy słabym wzroku trzeba wybierać pracę wymagającą raczej sprawności palców. Skłonność do zawrotów głowy nie pozwala na zawód związany z przebywaniem na dachach, rusztowaniach. Przy niewyraźnej wymowie nie można wybierać zawodów adwokata, nauczyciela, księdza. Zaburzenia smakowe przeszkadzają przy zawodzie kucharza, cukiernika. — Słowem przed ostateczną decyzją trzeba dobrze zastanowić się i wysłuchać opinii lekarza.

Wrodzone usposobienie pomaga lub przeszkadza przy wykonywaniu pracy zawodowej. Ludzie powolni, spokojni powinni wybierać zawód, przy którym jest mało ruchu, np. praca biurowa, różne rzemiosła. Tacy znów, co to nie mogą długo usiedzieć na jednym miejscu, niech zostaną leśnikami, ogrodnikami, agentami lub ekspedientami handlowymi. Szybkiej orientacji wymaga zawód szofera, maszynisty kolejowego. Drobiazgowej dokładności wymaga zawód aptekarza, zegarmistrza, chemika, technika.

Warunki materialne rodziny odgrywać muszą dużą rolę przy zamiarach na przyszłość. Długa nauka — gimnazjum, liceum, uniwersytet — obok zdolności dziecka, wymaga długotrwałego nakładu pieniężnego. Przy braku środków pieniężnych, młodzież napotyka na tysiące trudności i tylko niewielka liczba zdrowych i dzielnych jednostek trudności te pokonywa. W wielu natomiast wypadkach przychodzi choroba i śmierć albo takie wyczerpanie sił żywotnych, że do właściwej pracy zawodowej dochodzi człowiek już sterany, niezdolny do jakiegoś wysiłku twórczego. Dlatego też rodzice i młodzież powinni dobrze zastanowić się, czy po ukończeniu szkoły powszechnej iść dalej do gimnazjum ogólnokształcącego, za którym musi iść co najmniej liceum zawodowe, czy też do gimnazjum zawodowego, które prędzej przygotuje do pracy zarobkowej. A przecież dla ludzi chętnych i pracowitych zawsze znajdzie się możność twórczej inicjatywy i dalszego doskonalenia się w swoim zawodzie.

Potrzeb społeczeństwa trzeba szukać w całokształcie zajęć ludności w Polsce.

Wybitnie przeważa u nas ludność rolnicza, która obejmuje około 70 proc. Tylko kultura rolna jest na ogół niska. Należało by pójść w kierunku podniesienia poziomu rolnictwa przez uprzemysłowienie ogrodów, racjonalną hodowlę zwierząt, zakładanie różnego rodzaju spółek i spółdzielni. Przez wiele lat jeszcze dużo ludzi może znaleźć zajęcie dla siebie w tej dziedzinie i przyczynić się do podniesienia rolnictwa.

Przemysł obejmuje niewielki procent ludności. W ostatnich czasach widzimy szybki postęp w tej dziedzinie. Najwięcej ludzi zatrudnia przemysł włókienniczy, spożywczy, metalowy, mineralny i drzewny. Najmniej pracowników liczy skórzany i wodno - elektryczny. Publikacje urzędowe w ostatnich czasach sygnalizują brak wykwalifikowanych pracowników dla szybko rozwijającego się przemysłu.

W wolnych zawodach daje się zauważyć duże skupienie tej kategorii pracowników w wielkich miastach, natomiast małe miasteczka i wsie są upośledzone. Rozwój komunikacji pomiędzy miastami z jednej strony, rozwój Ubezpieczalni Społecznych, stowarzyszeń i związków z drugiej strony wymaga coraz większej liczby pracowników w tej dziedzinie życia. Wynikiem tego jest ogłoszony niedawno obowiązek dla lekarzy np. odbywania praktyki w szpitalach prowincjonalnych.

Urzędnicy państwowi stanowią 1 proc. ogółu ludności. Potrzeby w tej dziedzinie reguluje ustawodawstwo państwowe.

Wyrobnicy natomiast i służba, czyli ludzie bez określonego zawodu stanowią u nas około 10 proc., podczas gdy w innych krajach ta kategoria ludzi wynosi tylko 2 procent. Troską naszą musi być, aby zajęcie było popłatne.

Potrzeby społeczeństwa mogą być stwarzane przez jednostki pomysłowe i przedsiębiorcze. Tak zawsze było i jest ze wszystkimi wynalazkami, które rozpowszechniały się i dawały zajęcie wielu pracownikom. Wybitnym przykładem może być rozwijająca się w szybkim tempie radiofonizacja kraju. Trzeba tylko pomyśleć i odważnie torować nowe drogi, zamiast tłoczyć się na utartych, wydeptanych ścieżkach.

Przewidywane zarobki odgrywają dużą rolę przy wyborze zawodu, trzeba jednak dobrze uświadomić sobie, od czego to zależy. Utarło się w społeczeństwie przekonanie, że są zawody mniej lub więcej popłatne. Myślę jednak, że tzw. popłatność zawodu zależy od 2-ch warunków: 1) dobre przygotowanie do zawodu; 2) właściwy stosunek do pracy zawodowej.

Szkoła zawodowa jest najwłaściwszym przygotowaniem do zawodu. Bywają jednak takie sytuacje w rodzinie, że dziecko, zamiast do szkoły zawodowej, trzeba oddać na tzw. praktykę do różnych przedsiębiorstw i pracowni. Przygotowanie wtedy rozkłada się na dłuższy okres czasu i wymaga większego wysiłku ze strony pracownika. Ale wobec obowiązku dokształcania zawodowego praktykantów ostateczne przygotowanie do danej pracy po kilku latach może się wyrównać.

Stosunek do pracy, osobista wartość pracownika decyduje jednak o powodzeniu w życiu i danym zawodzie. Obserwacja życia codziennego łatwo nas o tym przekona. Porządny fachowiec zawsze zarobi więcej od partacza. Pracowity i rzetelny tylko przy jakichś wielkich katastrofach gospodarczych zostanie bez pracy. Pomysłowy i przedsiębiorczy zawsze znajdzie sobie możność zarobkowania.

Wszystkim stojącym w tej chwili przed zagadnieniem wyboru dalszej drogi życia i pracy radziłabym przypomnieć sobie często krótki a łatwy wierszyk:

Chcesz być czymś w świecie, to się ucz,
Abyś nie zginął w tłumie.
Nauka — to potęgi klucz,
W tym moc, kto więcej umie.
Bo wiedz, nie popchną tego wstecz
Ani pochłoną fale,
Kto umie choćby jedną rzecz,
Lecz umie doskonale.

Al. Dargielowa.

Otoczmy opieką dziecko moralnie zaniedbane

Środowisko wielkomiejskie, jakim jest Warszawa, posiada spory odsetek dzieci pozbawionych należytej opieki rodzicielskiej. Niekiedy są to sieroty, nie mające rodziców. Czasami dziecko ma ojca lub matkę, lecz ci, zajęci całodzienną pracą, nie mogą lub nie potrafią otoczyć dziecka należytą opieką, uchronić przed złymi wpływami ulicy. Bywa wreszcie i tak, że chociaż rodzice oboje żyją, to atmosfera domowa jest tego rodzaju, iż wywiera na dziecko jak najgorszy wpływ wychowawczy. Dzieci te, pozostawione własnemu losowi, wystawione na złe wpływy ulicy, deprawowane przez otoczenie — dziczeją, stają się elementem destrukcyjnym, przestępczym. Dziecko takie, pozbawione opieki, często obdarte i głodne już od zarania dzie-

cińskwa musi samo troszczyć się o swój los. Idzie najczęściej na ulicę, bo tu można zarobić, czasami — poprosić, użebrać; czasami — ukraść. Tu ono się bawi. Ulica, podwórko, rynsztok, bazar, staw, czy dół po glinie — to przecież wiecznie rozgrywające się widowisko, teatr, dostarczający opuszczonemu dziecku wielu wrażeń i emocji. Tu można popatrzeć, jak woźnica konia katuje, jak pijak się zatacza, jak sąsiadki kłócą się „o klucz od góry", jak straganiarka nadpsuty towar zamiast zdrowego sprytnie podłoży, na wadze oszuka. Tu można posłuchać soczystych, wyszukanych przekleństw, Żyda zaczepić, kota uderzyć, tramwaju się uczepić, pograć z kolegami w karty, w grze losowi dopomóc itd. To jest pierwsza szkoła życia dziecka zaniedbanego. I pomału idzie „od łyczka — do rzemyczka".

Tak stopniowo dziecko, narażone na złe wpływy, wyzbywa się uczuć życzliwych dla otoczenia, deformuje charakter, zatraca ambicję, zniechęca się do wysiłku i solidnej pracy. Dzieci te, pozostawione w dalszym ciągu bez należytej opieki wychowawczej wyrastają na przestępców, kryminalistów, z których destrukcyjną akcją ciężko musi walczyć społeczeństwo. Aby przeciwdziałać przestępczości, w interesie profilaktyki społecznej musimy otoczyć specjalną troską dziecko moralnie zaniedbane i moralnie zagrożone. W Warszawie, jako największym mieście kraju, zagadnieniem tym interesowano się od dawna. Już przed 200 laty próbowano problem ten rozwiązać zgodnie z ówczesną wiedzą pedagogiczną. Rozwiązanie tego zagadnienia powierzono wówczas księżom zakonnikom, którzy z ofiar społecznych, a między innymi zbieranych przez sieroty raz na tydzień na mieście w formie jałmużny, tworzyli zakłady mające za zadanie poprawiać dzieci moralnie zaniedbane przez „nauki religijne i moralne". Na początku XVIII w. ks. biskup Krzysztof Szembek tworzy przy szpitalu przytułek i warsztaty dla chłopców, o których mówi: „tak wiele sierot, chłopiąt półnagich tuła się i włóczy po Warszawie, bez służby i bez żadnej przystojnej i pożytecznej zabawy, tylko się mizerną żebraniną bawią i próżnowaniem, stąd do większego hultajstwa bywa okazja". Po pierwszym rozbiorze Polski zakład ten jednak upadł.

Inicjatywę opieki nad moralnie zaniedbanymi w Warszawie podjął na nowo w roku 1830 Tajny Radca Stanu hr. Fryderyk Skarbek. Z ofiar społeczeństwa zdobył gmach (przy ul. Okopowej Nr 109), w którym znalazł pomieszczenie Dom Przytułku i Pracy, a przy nim 10 „moralnie osieroconych dzieci". O zakładzie tym Skarbek pisze: „Jeżeli kraj nasz równocześnie z innymi przytułek dla pierwszych (starców) obmyślił, życzyć sobie można, że nie będzie ostatnim w zaprowadzeniu instytutu, opiece moralnie zaniedbanych dzieci poświę-

conego. ...Udałem się z prośbą do rządu w zamiarze uzyskania pozwolenia zawiązania dobroczynnego stowarzyszenia, mającego się zająć opieką nad temi dziećmi, których rodzice dla ubóstwa, niedbalstwa lub zepsucia swego, w moralnym zaniedbaniu zostawiają, i takich, które z tego powodu dopuściły się już przestępstw, prawa towarzyskie i obyczajność obrażających" *). Obecnie państwo polskie lub samorządy tworzą dla tego typu dzieci szkoły i zakłady specjalne, w których pod kierunkiem światłych, odpowiednio przygotowanych wychowawców młodzież pobiera naukę. Nie przez prawienie morałów i kazań, lecz przez czynną postawę dziecka, przez pobudzenie jego zainteresowania, przez pracę warsztatową, przez sporty, gry i zabawy przez wycieczki i życie obozowe, przez okazywanie dziecku moralnej i materialnej pomocy szkoła wychowuje dziecko moralnie zaniedbane. W Warszawie dla tego typu dzieci istnieje 5 szkół powszechnych. Z tego 4 dla chłopców i 1 dla dziewcząt. Pobiera w nich naukę około 800 dzieci. Należy wyrazić żal, że tylko 3 spośród tych szkół posiadają internaty — pozostałe 2 są eksternatowe. Internat bardzo często jest jedyną gwarancją poprawy, gdyż daje możność izolowania dziecka od złych wpływów środowiska.

Szkoła specjalna dla moralnie zaniedbanych pełni bardzo ważną i trudną misję. Pełni ją z pożytkiem dla tej nieszczęśliwej, moralnie zagrożonej młodzieży i z pożytkiem dla całego społeczeństwa. Trzeba jednak, abyśmy spostrzegali nie tylko wybryki i wykroczenia młodzieży, lecz również wysiłek jej ku dobru i pewne osiągnięcia na tej drodze. Trzeba wiele wyrozumiałości i serca jej okazać. I otoczyć troskliwą opieką, której nie dał tej młodzieży dom rodzinny.

Antoni Jędraszko.

Stawiajmy zagadnienie zasadniczo

Dyskusja nad zagadnieniem pomocy młodzieży szkół powszechnych potoczyła się różnymi torami. Z jednej strony mamy próbę sprowadzenia problemu na szerszą płaszczyznę obowiązku państwa i społeczeństwa względem dziecka (art. p. T.), z drugiej p. Borensztajn sprowadza zagadnienie do działalności Opiek Szkolnych, od których żąda nieprzeciętnych wartości moralnych i uzdolnień wychowawczych. Przeczytałem ze zdziwieniem opinię, że p. D. potępia „pomoc materialną dzieciom, organizowaną przez szkołę", gdy moim zdaniem chodzi o likwidację wielotorowości i złych skutków, to jest

*) Władysław Sala „Trzysta lat służby dla dobra młodzieży moralnie zagrożonej".

o inne formy tej pomocy. Już to krótkie i bardzo ogólnikowe zestawienie głosów dyskusji wykazuje, jak różnie można widzieć te sprawy, raz na szerokiej płaszczyźnie zagadnień ogólnych, to znowu w wąziutkich ramach jednej Opieki Szkolnej. Widzimy również, jak drażliwie można zagadnienie postawić. Jedno zdaje się nie może ulegać wątpliwości, że **nie ma wychowawcy, nie ma opiekuna szkolnego, który mógłby potępić pomoc materialną dziecku.**

Lecz każdy zgodzi się z tym, że pomoc dzieciom i młodzieży należy organizować tak, byśmy uniknęli zła, o którym słusznie i otwarcie mówi artykuł p. D. To jest sedno sprawy. Bo albo szkoły wychowawcze, o jakich była mowa, nie istnieją, więc obecne formy niesienia pomocy dziecku są słuszne, albo p. D. ma rację, więc szukajmy innych dróg, szukajmy sposobu likwidacji wielotorowości i złych skutków obecnych form opieki nad dzieckiem.

I to jest zasadnicza sprawa w rzuconym zagadnieniu.

Zła strona obecnego systemu rozdawnictwa, strona wyrządzająca przede wszystkim niepowetowaną krzywdę wychowawczą młodzieży, istnieje niewątpliwie. Pan D. załatwił się z nią „krótko — węzłowato", gdyż nie mogła ona ujść uwagi tych wszystkich, którzy stykają się z tymi zagadnieniami. Sprawa ta dojrzała jednak nie tylko do dyskusji, ale już i do jej rewizji. Memoriał, jaki w imieniu nauczycielstwa stolicy, zgrupowanego w Z. N. P., złożono na ręce p. A. Dąbrowskiego, prezesa Stołecznego Komitetu Pomocy Dzieciom i Młodzieży, wymienia szereg stron ujemnych obecnego systemu pomocy dzieciom za pośrednictwem szkoły:

— dezorganizowanie i obniżanie pracy wychowawczej szkoły,
— dezorganizacja pracy dydaktycznej,
— konflikty między rodzicami a szkołą, itd. (patrz „Głos Warszawski", nr. 5/39 — str. 141).

Już jeden z tych zarzutów wystarcza, by zastanowić się nad tym, czy szkody, jakie ponosi w tej sprawie dziecko, pozwalają nam na tolerowanie obecnego stanu nadal. Czy można obstawać przy dotychczasowych formach rozdawnictwa, skoro są one źródłem konfliktów między szkołą a domem. Sprawa dojrzała do czynu. Nie doprowadzi nas do celu wprowadzanie do dyskusji elementów nieosiągalnych (etaty, lokale dostosowane do potrzeb), które poprawiłyby w pewnym stopniu obecną sytuację, gdyby je zrealizowano. A na to się na razie nie zanosi. Takie rozważanie sprawy sprowadzi ważne i palące zagadnienie do rozważań ściśle teoretycznych. Nie mogę również zgodzić się ze zdaniem pana T., że szkoła (w jakiejkolwiek sytuacji) widzi ujmę w kwalifikowaniu zamożności rodzin swoich uczniów, jak również nie łudzę się, że uznawanie przez szkołę za własne pra-

wo tego kwalifikowania rozwiąże zagadnienie pomocy. Prawo to bez egzekutywy, to jest bez możności zaspokojenia ustalonych potrzeb, względnie przy niedostatecznej egzekutywie, może tylko pogłębić rozdźwięk między domem a szkołą. Tego chyba nie trzeba uzasadniać, jak również i tego, że trudno byłoby wyposażyć szkoły w odpowiednie i wystarczające środki. P. Borensztajn twierdzi, że Opieka Szkolna ma dokładne dane co do stanu materialnego każdego z dzieci. Na tym tle bywa wiele omyłek i powstał niejeden konflikt.

Nie chcę jednak dyskutować na te tematy. Wracam do zagadnienia zasadniczego. Zdaje mi się, że przede wszystkim musimy odpowiedzieć sobie na pytanie:

czy pomoc materialna niesiona młodzieży, niesie w swych obecnych formach i szkody wychowawcze, czy nie?

Jeżeli — nie — to dalsze rozważania są zbędne.

Jeżeli zaś — tak, to zapytujemy kolegów:

— czy rozdawnictwo kilkunastu par ubrań lub obuwia, wydanych przez szkołę, nie według potrzeb dzieci, a w czasie przypadkowym i w dostosowaniu rozdawnictwa do wymiarów otrzymanych ubrań czy obuwia, równoważy szkoły wychowawcze tak dalece, że należy ten system nadal utrzymać?

— Czy pomoc nie osiągnie swojego celu, jeżeli dziecko otrzyma ubranie czy obuwie poza szkołą, ewentualnie na podstawie karty kwalifikacyjnej wystawionej przez szkołę?

— Czy należy utrzymywać inne formy pomocy koniecznie w szkole, jeżeli dezorganizują one pracę dziecka, a można je urządzić z powodzeniem poza szkołą (np. dożywianie w kuchniach rejonowych, przy pozostawieniu szkołom dożywiania dzieci w świetlicy itp).

— Czy można lekceważyć głos zbiorowy nauczycielstwa stolicy, wypowiadający się z troską o szkodliwości obecnego systemu pomocy za pośrednictwem szkoły?

Sprawa jest paląca i należy ją rozważyć nie z punktu widzenia rozważań teoretycznych, a wedle praktycznych możliwości. Szkoła nie może, nie powinna i na pewno nie uchyla się od troski o dziecko. Lecz szkoła nie może i nie powinna patrzeć obojętnie na spustoszenie wychowawcze, i stąd głosy o zmianę systemu. Szkoła musi zachować możność częściowego kwalifikowania potrzeb dziecka, lecz samym rozdawnictwem z prawem ostatecznej decyzji musi się zająć ta instytucja, dla której opieka nad rodziną w ogóle, czy tylko nad dzieckiem jest zasadniczym celem jej istnienia.

Wtedy właśnie dziecko otrzyma właściwą pomoc.

Chciałbym zwrócić uwagę na jeszcze jedno źródło konfliktów, związane z wielotorowością pomocy. Opieki Szkolne, wyczerpawszy swoje możliwości, kierują rodziców z odpowiednimi zaświadczeniami do Opieki Społecznej.

I często rodzice wracają do szkoły oświadczając, że odesłano ich do... Opieki Szkolnej, jako instytucji posiadającej fundusze na pomoc dzieciom. Czy nie zachodzi tu pomieszanie kompetencji i obowiązków? Czy nie wynika z tego poważny konflikt i poderwanie zaufania rodziny do władz szkoły? Czy ten stan rzeczy nie jest wynikiem obecnego systemu, stwarzającego pozory, że szkoła jest instytucją pomagającą dziecku materialnie?

Trudno jest komuś, kto zaledwie powierzchownie zna możliwości skomplikowanej maszynerii, składającej się na pomoc dzieciom, kusić się o szkic właściwej organizacji tej pomocy na podstawie znajomości końcowego odcinka tej pracy. Jednak Stołeczny Komitet Pomocy Dzieciom i Młodzieży, którego wysiłkom dziecko w stolicy zawdzięcza zwiększoną i bardziej wszechstronną opiekę, potrafi niewątpliwie w swej dalszej działalności znaleźć drogi, aby stopniowo, doskonaląc formy, nie „uprościć sprawę", ale wyprostować jej ścieżki, które kryją niebezpieczeństwa wychowawcze, na jakie zwrócił słusznie uwagę artykuł p. D.

M. M.

N A S Z E D Z I E C I

Choroby zakaźne u dzieci

Schorzenia zakaźne wywołane są przez znane nam lub nieznane jeszcze zarazki. Zarazki te po wtargnięciu do ustroju ludzkiego przez pewien okres nie dają wcale znać o sobie i dopiero po upływie pewnego czasu charakterystycznego dla każdego schorzenia zakaźnego zaczynają występować mniej lub bardziej wyraźne objawy zakażenia. Okres, który upływa od chwili wtargnięcia zarazków do ustroju do chwili wystąpienia objawów chorobowych, nazywamy czasem inkubacji czyli czasem wylęgania. Okres ten wynosi dla

błonicy (dyfterytu)	2 — 8 dni
czerwonki	2 — 7
duru brzusznego (tyfusu)	7 —21
krztuśca (kokluszu)	3 — 6
odry	10 —14
ospy wietrznej	17 —21

płonicy (szkarlatyny)	2 — 8
świnki	14 —21
zapalenia opon mózgowych	2 — 5

W okresach wyżej podanych dziecko zdrowe może zarazić się od chorego, u którego nie mamy jeszcze żadnych objawów chorobowych, przez kontakt z nim, a więc przez styczność, drogą tzw. kropelkową przez ślinę, wydzielinę z nosa, które przy kichaniu, kaszlu, płaczu, rozmowie zostają rozpylone w powietrzu, ostatecznie także drogą powietrzną, o ile zarazki są lotne jak np. przy ospie wietrznej, śwince itd. Zaraźliwość utrzymuje się i po ustąpieniu objawów przez pewien krótszy lub dłuższy okres, o czym jeszcze wspomniemy poniżej.

Obowiązek walki ze schorzeniami zakaźnymi nakazuje natychmiastowe izolowanie chorego. Izolacja ta polega na odosobnieniu chorego i niedopuszczaniu do nikogo, ponieważ istnieje obawa, że osoby mające z nim styczność mogą to schorzenie przenosić na osoby zdrowe. Osoba pielęgnująca nie może więc przebywać z chorym a następnie spędzać czas z innymi dziećmi, jako że te szczególnie są wrażliwe. Ale i styczność ze starszymi jest niedopuszczalna, ponieważ te mogą to schorzenie przenieść na obce dzieci, z któremi zetknąć się mogą w szkole, tramwaju, poczekalniach, kolei itd.

Rozpoznanie jakiegolwiek schorzenia nie należy do rzeczy łatwej, wymaga czasami nawet dłuższej obserwacji przez lekarza. Rozstrzygnięcia zaś kwestii czy ma się do czynienia ze schorzeniem zakaźnym, może dokonać tylko lekarz. Im prędzej zostanie takie schorzenie zakaźne rozpoznane, tym prędzej można rozpocząć odpowiednie leczenie i uchronić otoczenie równocześnie od zarażenia.

Rodzice nawet najmniej doświadczeni wiedzą, że schorzenia zakaźne cechują: wysoka temperatura i wysypka. Podniesiona temperatura wyprzedza zazwyczaj wysypkę i jej wysokość zazwyczaj świadczy o groźnym stanie organizmu dziecka. Już w tym okresie należy dziecko izolować i wezwać lekarza. Ten może bowiem z objawów, które uchodzą uwadze otoczenia, ustalić lub przypuścić, z jakim schorzeniem mamy do czynienia.

Do najczęstszych schorzeń okresu dziecięcego należy o d r a. Należy ona do tych schorzeń, które udzielają się bardzo łatwo. Pobyt dziecka zdrowego w pokoju, gdzie znajduje się chory na odrę, wystarcza, ażeby po wyżej już wspomnianym okresie wylęgania dziecko, które zetknęło się z chorym, dostało odry. Już na kilka dni przed wysypką dziecko takie zwraca uwagę swoim zachowaniem się. Dziecko źle się czuje, ma silny katar, kicha i kaszle, oczy ma zaczerwienione. Otoczenie zazwyczaj bagatelizuje te objawy i dopiero wysypka wyjaśnia otoczeniu, że ma się do czynienia ze schorzeniem zakaźnym.

Musimy tu podkreślić i zwrócić uwagę na pewne zwyczaje i zabobony, które spotyka się w domach nawet inteligentnych. Mianowicie wiele matek sądzi, że, im dziecko wcześniej przebędzie odrę, tym lepiej dla niego. Dlatego też bardzo często w wypadku zachorowania jednego dziecka kładą inne do tegoż łóżka, ażeby i inne przebyło chorobę jak mówimy „za jednym zamachem“. Tymczasem świat lekarski docenia całkowicie niebezpieczeństwo odry dla organizmu dziecka, ale obawia się głównie następstw czy powikłań, które specjalnie w odrze są częste i niebezpieczne. Największe niebezpieczeństwo grozi płucom, które zostały osłabione przez krztusiec czyli koklusz i gruźlicę. Rzadziej komplikacje dotyczą narządu słuchu.

Każde dziecko wątłe, delikatne, wrażliwe na katary może po zetknięciu się z gruźlicą nie wykazywać jej przez długi okres czasu. Może nawet przebyć gruźlicę i mieć ją zaleczoną. Po odrze przychodzi jednak do nasilenia gruźlicy, a organizm osłabiony odrą nie ma możności zwalczyć gruźlicy. W innym wypadku płuca osłabione kaszlem długotrwałym przy krztuścu czyli kokluszu po odrze wykazują proces zapalenia płuc, który może ciągnąć się tygodniami a nawet miesiącami i tak mocno osłabia siły obronne organizmu, że dziecko bardzo często pada ofiarą nie odry ale komplikacji poodrowych. Widzimy więc, że odra może mieć przebieg nawet lekki, ale może być iskrą, która wznieca pożar, mogący strawić cały dom. Dlatego nie można lekceważyć odry jak tej iskry, bo gdy ta padnie na odpowiedni grunt to walka z pożarem nie należy do rzeczy łatwych. Nie wspominamy już, że wielka ilość zapaleń opon mózgowych — tak niebezpiecznego schorzenia dla dzieci — występuje bardzo często jako komplikacja poodrowa. Izolacja dziecka chorego na odrę ma za zadanie uchronić dziecko od zetknięcia się z gruźlicą czy krztuścem, na które to schorzenia ustrój dziecka w tym okresie jest szczególnie wrażliwy.

P ł o n i c a czyli szkarlatyna jest drugim schorzeniem także często pojawiającym się u dzieci szkolnych. Szerzy się ona po miastach, miasteczkach i wsiach, ponieważ zaraźliwość jej jest bardzo wielka. Zarażają się dzieci nie tylko przez zetknięcie z chorym, ale także przez dotknięcie rzeczy używanych przez chorego, a w końcu także za pośrednictwem osób trzecich, a więc tych, którzy przebywają w otoczeniu chorego, posługują się rzeczami z jego najbliższego otoczenia lub przestają z osobami pielęgnującymi chorego. Izolacja chorego musi być przy płonicy szczególnie dokładna, a nawet osób, które ostatnio przebywały razem z chorym. Władze szkolne wymagają, ażeby rodzeństwo, które płonicy nie przechodziło, powstrzymało się od uczęszczania do szkoły przez okres dwóch tygodni. Powrót ich do szkoły po tym okresie możliwy zaś jest tylko w wypadku,

gdy nie mają styczności z chorym i osobą pielęgnującą. Okres wylęgania płonicy wynosi tylko 4—6 dni, podczas gdy przy odrze wynosił 14 dni. Okres zaraźliwości wynosi przy płonicy 6 tygodni, a czasami i dłużej, bo aż do ukończenia okresu łuszczenia się skóry. Zaraźliwość przy odrze kończy się wraz z ustąpieniem wysypki. Władze z tego też względu żądają oddania dziecka chorego na płonicę do szpitala, podczas gdy nie nalegają przy odrze. Oddanie dziecka chorego na płonicę zapobiega zarażaniu reszty rodzeństwa a następnie dziecko ma zapewnioną stałą fachową opiekę lekarską i pielęgniarską, która jest szczególnie konieczna w okresie wytwarzających się komplikacyj w zakresie narządu słuchowego jako zapalenia ucha środkowego, przeważnie ropne, w zakresie serca, stawów itd. Najczęściej dotyczą komplikacje jednak nerek. Przebieg płonicy bywa lekkki lub ciężki w zależności od charakteru epidemii, która w danym okresie panuje. Płonica bowiem, jak i inne schorzenia zakaźne, ma również swoje humory. Zapalenie nerek nie jest jednak zależne od przebiegu choroby.

B ł o n i c a czyli dyfteryt jest trzecią z rzędu chorobą zakaźną, która w okresie epidemii naraża dużo dzieci na śmierć lub na długotrwałe choroby serca, stawów itd. Schorzenie to cechuje pojawienie się nalotów czyli błon w gardle a szczególnie na migdałach. Błony te stosunkowo prędko zajmują coraz większe obszary i sięgać mogą aż do krtani, co w następstwie może doprowadzić do uduszenia dziecka. Dlatego też wczesne rozpoznanie choroby przez lekarza i zastrzyk surowicy przeciwbłoniczej ratuje dziecko od niechybnej śmierci. Śmiertelność przy błonicy przed wprowadzeniem surowicy przeciwbłoniczej była olbrzymia. Schorzenia tego nie cechuje żadna wysypka, a tylko podwyższenie temperatury, która czasami nawet nie dochodzi do 38° C.

A pamiętać musimy, że błonica może występować kilkakrotnie u tego samego dziecka, podczas gdy odra i płonica nie powtarzają się.

Widzimy więc, że wezwanie lekarza, możliwie wczesne przy błonicy rozstrzyga prawie o życiu i śmierci dziecka. Im bowiem prędzej zastosuje się surowicę przeciwbłoniczą, tym prędzej przechodzi dziecko do zdrowia i tym mniej należy się obawiać komplikacyj. Wstrzyknięcie surowicy trzeciego dnia choroby nie ma już tak wielkiej wartości, a nie ma żadnego znaczenia przy ciężkim przebiegu schorzenia. Dlatego też obserwowanie gardła w czasie uskarżania się dziecka na ból przy połykaniu jest rzeczą bardzo wskazaną, a przy pojawieniu się podniesionej temperatury każe pozostawić wyłącznie lekarzowi rozstrzygnięcie, czy mamy w tym wypadku do czynienia

z anginą czy też błonicą. Późne wezwanie lekarza może okazać się katastrofalną rzeczą w swych skutkach.

Stosowanie zaś jakichkolwiek zabiegów czy środków domowych leczniczych może czasami tylko przyśpieszyć pogorszenie.

Świnka czyli mumps jest schorzeniem zakaźnym dość powszechnym i musimy wspomnieć w kilku słowach o jego objawach, ponieważ epidemie w szkołach są dość częste i długotrwałe. Samo schorzenie cechuje obrzęk ślinianek przyusznych wskutek czego przychodzi do obrzęku w okolicy i poniżej małżowiny usznej po jednej lub po obu stronach. Obrzęk ten przy dotyku robi wrażenie ciasta i sprawia ból. Schorzenie jest bardzo zaraźliwe a przebieg całej sprawy trwa około dwóch do trzech tygodni. Powikłania nie są częste, a są może niebezpieczniejsze dla chłopców i mężczyzn.

Dr med. Aleksy Sałamanczuk.

Z ŻYCIA OPIEK SZKOLNYCH

O większe zaufanie do nas

Zaniepokoiło mnie to, co o Opiekach napisane było w poprzednim numerze „Współpracy". Przeczytałam więc dokładnie ustawę o Komisjach Oświatowych, które mają powstać na miejsce dzisiejszych Rad Szkolnych.

Muszę powiedzieć to samo, co było powiedziane we „Współpracy": Dlaczego ustawa ta usunęła z tych Komisji czynnik społeny? Dlaczego tam mają wejść wszyscy z mianowania? Każdy z tych członków będzie wtedy zależny od jakiejś władzy, a przecież cóż by się stało, gdyby do tej Komisji weszli z wyboru nauczyciele i przedstawiciele rodziców! Przecież Komisja Oświatowa nie będzie niczego uchwalała, tylko będzie opiniowała i projektowała.

Ten brak zaufania do nas, rodziców, może być częściowo naprawiony w rozporządzeniu o Komitetach Szkolnych, czyli dzisiejszych Opiekach.

Oto jakie życzenia miałby ogół rodziców pod adresem twórców tego rozporządzenia:

1. Decydujący głos w wyborze przewodniczącego Komitetu, jego zastępcy, Komisji Rewizyjnej oraz członków Zarządu Komitetu, poza przedstawicielami nauczycielstwa, powinni mieć rodzice poprzez wybory ogólne. **Winien więc być zachowany obecny sposób powoływania członków Zarządu Opiek Szkolnych,** to znaczy, że spo-

śród dwóch kandydatów, wybranych przez walne zebranie rodziców, władza zwierzchnia nad Komitetami winna zatwierdzać jednego na przewodniczącego, drugiego na zastępcę.

Powoływanie przewodniczącego przez inne czynniki, niż rodzice danej szkoły, byłoby tylko pogłębianiem braku zaufania do czynnika społecznego, byłoby niewątpliwie źródłem wielu pomyłek i konfliktów. Bo trudno przecież przypuszczać nawet, by ktoś, wyznaczony przez władze szkolne lub miejskie, mógł być czymś innym w zespole członków Komitetu, niż osobą urzędową, obcą tym, z którymi trzeba dźwigać ciężar obowiązków społecznych. Jakże często osoby takie mogą nie znać szkoły, mogą budzić u współtowarzyszy pracy nieufność.

Jakże mogą przy takich „nominacjach" decydować lub przeszkadzać względy natury politycznej, co w żadnym wypadku nie jest pożądane na terenie szkoły. Obecna zasada, że Opiekun Główny jest jednocześnie ojcem dziecka uczęszczającego do szkoły, ma ogromne znaczenie wychowawcze. Do rzadkich wypadków należy fakt, że na czele Opiek stoją jednostki spoza grona rodzicielskiego danej szkoły. Jeśli tak jest, to jednostki te musiały sobie zdobyć uprzednio zaufanie u rodziców i nauczycielstwa na terenie szkoły.

A teraz pomyślmy, jakby to w praktyce wyglądało „dobieranie" Komitetom np. w Warszawie prawie 200 przewodniczących Komitetów, bo tyle przecież mamy tu publicznych szkół powszechnych. Jaka instytucja może znaleźć takich kandydatów, którzy byliby odpowiedni dla szkoły na Annopolu, w Śródmieściu czy na Woli? Komu potrzebny jest ten kłopot i to wtedy, gdy stracić na tym może tylko dobro szkoły, gdy posunięcie takie postawiłoby w tej sytuacji „mianowańca" wobec tych, którym miałby on przewodzić.

2. Dobrowolne składki będą zapewne utrzymane. Któż je ma uchwalać? Czy poszczególne klasy, oddziały? Czy ma to być tylko dobra wola każdego z rodziców? Jak wówczas wyrażałyby się budżety Komitetów? Czyż można by mówić o planowej, racjonalnej gospodarce pieniężnej w Komitetach?

Nie, takie ujęcie sprawy wywołało by na pewno chaos. Dlatego też wysokość składek dobrowolnych winni corocznie ustalić rodzice na ogólnych swoich zgromadzeniach.

Te zgromadzenia muszą uchwalać budżety swoich szkół, muszą też otrzymywać sprawozdania roczne od Zarządu Komitetu i Komisji Rewizyjnej z działalności ogólnej oraz finansowej Komitetu. Ta tylko forma posiada cechy pracy i odpowiedzialności społecznej; tu każde z rodziców czuje się wtedy członkiem dużej spółki, mającej wspólne zadania wobec dziatwy i szkoły.

3. A dalej kto winien sprawować nadzór nad działalnością Komitetów Szkolnych? Nadzór ten powinien pełnić organ dający największą pewność, że ten nadzór będzie miał charakter **społeczny**. Zdawało by się, że z natury rzeczy organem takim powinna być Komisja Oświatowa. Niestety, według ustawy, ciało to, ze względu na swą budowę, nie nadaje się do tej roli. Pozostają więc chyba tylko Władze Szkolne. One to prawdopodobnie będą miały nadzór nad Komitetami Szkolnymi. Czy Władze Szkolne nie ugną się pod takim ciężarem obowiązków i czy nie powinna powstać przy Inspektoratach Szkolnych specjalna Komisja do Spraw Komitetów Szkolnych? Taką właśnie Komisję winno przewidzieć oczekiwane rozporządzenie. Zadaniem jej byłby stały nadzór nad działalnością Opiek, koordynowanie ich pracy i inicjatywy w zakresie przedsięwzięć oświatowo - kulturalnych wśród rodziców itp. W skład Komisji mogliby wchodzić przedstawiciele rodziców, nauczycielstwa i Komisji Oświatowej.

4. Jak będzie w Warszawie? Według ustawy Warszawa, Wilno, Łódź, Katowice, Kraków i Poznań mogą mieć inaczej urządzone Komisje Oświatowe, a więc chyba także i Komitety Szkolne?

Dotychczas nic nie słychać o projektach w tej mierze. Jakiekolwiek jednak ukażą się projekty, muszą one być tak pomyślane, aby mogły w całości **uszanować niezależność czynnika rodzicielskiego** w powoływaniu władz Opieki Szkolnej i nie posiać na terenie szkoły ziarna nieufności i biurokratyzmu.

W Warszawie można by się starać związać Opieki Szkolne z Komisją Oświatową z tym jednak zastrzeżeniem, że ta ostatnia będzie organem o charakterze społecznym. Dwudziestoletnia działalność Stołecznych Opiek Szkolnych i piękne wyniki ich działalności muszą znaleźć dalszy ciąg w ustroju tego, co ma zastąpić dzisiejszy samorząd szkolny.

J. Dest.

Zabieram głos

W związku z artykułem, zamieszczonym we „Współpracy" Nr 5 z miesiąca stycznia 1939 r. p.t. „Zabieramy głos w tej sprawie" autora D., wyrażam na podstawie kilkunastoletniej praktyki swój pogląd, który może będzie przyczynkiem do rozważania istotnej sprawy — właściwej pomocy biednym dzieciom — dla czynników mających przede wszystkim pieczę nad dzieckiem i głęboką troskę o jego przyszłość.

Nikt z pedagogów, nikt z Opieki szkolnej nie wypowie się przeciw dawaniu pomocy biednym — ci są i zawsze będą.

Nikt nie zaprzeczy konieczności pomocy w formie dożywiania, ubrania. Jest to nakaz ludzkiego serca, jest to owa przykazaniowa pomoc bliźniemu w jego niedoli.

Są biedne dzieci nie tylko wtedy, kiedy ich rodzice są bezrobotni, jest sporo i takich, których rodzice mają dobre warunki materialne, lecz nie dbają o dzieci, zajęci swymi osobistymi sprawami, przyjemnościami. Dla nich troska o dziecko jest ciężarem, który spychają na szkoły, wiedząc z góry o pomocy, jaką tam otrzymają. To jest życie i tego nigdy i nikt nie zmieni.

A więc winna być rozciągnięta racjonalna opieka nad owymi „nieszczęśliwymi" — moralna przez szkołę, materialna — przez czynniki społeczne.

Sam wyraz „Opieka Społeczna" streszcza zadania, powinności i wyraźnie daje nakaz, — kto ma się opiekować materialnymi potrzebami dziecka szkolnego.

Moim zdaniem — nigdy szkoła.

Nie czyńmy ze szkół ośrodków społecznych, nie zakładajmy — „garkuchni" „magazynu rozdawnictw odzieżowo - ubraniowych" — to obniża powagę szkoły, to sprowadza ją do kramików handelkowych, gdzie rodzice, niby to pokrzywdzeni przez „uprzedzonego" do dziecka nauczyciela, czynią mu uwagi, targują się z nim i nieraz soczyście zwymyślają, dlaczego to ten lub tamta a nie jego dziecko zostało obdarowane bucikami, ubrankiem.

Jest to zło i winno być ze szkoły usunięte.

Niech nauczyciel i kierownik mają czas uczyć swobodnie i wychowywać. Stanowczo jest jakiś przedział pomiędzy uczniami nic nie biorącymi i otrzymującymi.

To nie jest demokratyczne w szkole powszechnej. Mimo najlepszej dyskrecji, zachowanej przez szkołę w dawaniu pomocy biednym, — są istotnie ci „górni" dobroczyńcy i „dolni" pobieracze.

Raczej szkoła winna być w ścisłym kontakcie z Ośrodkami Społecznymi i wiedzieć, które dzieci otrzymują świadczenia, pomoc, mieć ewidencję tych dzieci, ale na litość Boską ze szkoły nie można robić filantropijnych instytucji.

Wówczas szkoła zyska należny szacunek i powagę u tych rodziców, traktujących szkołę jako „żłobek pomocny", — któremu oddaje się na wyżywienie dzieci.

Wtedy rodzice zrozumieją, że szkoła jest świątynią nauki, że tam jest dawana strawa ale umysłowa, duchowa.

Z konieczności, w początkach kształtowania się naszej państwowości. dawaliśmy w szkole tę materialną pomoc biednym dzieciom, ale dzisiaj, kiedy istnieje Ministerstwo Opieki Społecznej, kiedy w dzielnicach stolicy powstały Ośrodki Zdrowia i Opieki Społecznej, kiedy istnieje organizacja Opiekunów Domowych, do nich winna należeć wszelka troska i opieka nad biednymi.

Ze szkołą jedynie należy być w kontakcie, mieć wspólne konferencje, wywiady, a będzie wzajemne ułatwienie w informowaniu o postępach w wychowaniu i nauczaniu tych dzieci, a nas, z jakiego środowiska są dzieci w szkole.

Odsuńmy wreszcie ze szkoły owe dożywiania, zakupy słoniny, mąki, kiełbas — na to nie ma czasu w szkole, jeśli pragniemy dobrze wychowywać i uczyć.

Niech nauczyciel ma swobodną myśl, nastawioną jedynie i tylko na nauczanie i wychowanie, a ręcze, że podniosą się walory wychowawcze i naukowe szkoły.

Całkowicie solidaryzuję się z artykułem p. D. i uważam za jedyną i konieczną **jednostronność opieki nad dzieckiem.**

Podzielam zdanie doświadczonego pedagoga, który z istotnej troski poruszył tę ważną sprawę i przekazał opinii zainteresowanych.

Niech dziecko wie, że w szkole jest uczniem równym innym kolegom, niech go się chyłkiem nie wywołuje z lekcji lub pozostawia po lekcji, by cichaczem w oddzielnym pokoiku dyskretnie darzyć pomocą, która, mimo swego dobra i konieczności, stanowczo obniża godność maleńkiego człowieka, a z czasem prowadzi do zatracenia ambicji, wyrabia „jałmużnika“ nie tylko śmiałego ale nawet bezczelnego. Te darowizny, te świąteczne podarki zwę „jałmużniczymi“, wpływającymi ujemnie na tężyznę charakteru człowieka, na jego przyszłą samodzielność.

W szkole, której jestem kierowniczką, te dzieci, — od I klasy mające pomoc, śmią w szczery, bezpośredni, lecz nazwę to w bezczelny sposób prosić o to, co im potrzebne.

Oto parę obrazków.

Chłopczyk z IV klasy zwrócił się do mnie z propozycją: „proszę p. kierowniczki, zapisałbym się do harcerstwa, ale czy p. kierowniczka sprawi mi mundur harcerski“.

Inna dziewczyna z drugiej IV klasy zgłosiła się w kancelarii szkoły, zapytując mnie, czybym nie mogła jej dać koszulki z mojej córki.

Inna dziewczynka, której stale dawana była pomoc (gdyż ojciec za kryminalne przestępstwo siedzi w więzieniu) przychodziła na zabawy dziecięce i „cudownie“ okradała woreczki starszych koleżanek.

Przyłapana przeze mnie, tłumaczyła się, że dostaje tylko śniadania i kartki na obiady w szkole, pieniądze wzięła na słodycze.

Takich obrazków można by przytoczyć wiele to są smutne i zastraszające fakty, z tym trzeba rozpocząć walkę i położyć temu kres.

Obrazek chłopca, który parę lat temu ukończył szkołę a przez czas pobytu był owym „jałmużnikiem“. W rok po skończeniu szkoły przyszedł prosić, by opłacić „wpis“; — oczywiście pragnąc pomóc — wpłynęłam na Opiekę Społeczną, by czasowo pożyczyła mu potrzebną sumę 55 zł. Jednocześnie otrzymał 2 korepetycje ze szkoły z poleceniem zwracania po parę złotych miesięcznie pożyczonej sumy.

Lekcje rzucił, bo mu za daleko było i darł buty. A że stale dom korzysta z opieki, on „przebiera“ w pracy — to autentyczny fakt.

Również obserwuje w szkole, że dzieci obdarzane materialnie robią nam łaskę, że regularnie chodzą i siedzą w szkole nic się nie ucząc.

Statystyka niepromowanych wykazałaby 95 proc. tych właśnie dzieci obdarowanych i to być może urabia w młodzieży przeświadczenie, że szkoła jest nie po to by uczyła, gdyż one nic nie robiąc w szkole, po parę lat siedzą w jednej klasie, a wciąż są wspomagane.

Szkołę traktują jako miejsce opieki społecznej, a nie jako przybytek nauki.

Wyrastają na typy malkontentów, szemrzących wszędzie, zawsze i na wszystko.

To nie jednostki twórcze, aktywne, samodzielne, to bierne typy, czekające zawsze tylko łaski i zbawienia.

Rozwiązanie sprawy przez danie pracy rodzicom jest najracjonalniejszym, najzdrowszym objawem społecznym.

Wierzę głęboko, że Polska, krocząca tak zawrotnym tempem rozkwitu swej mocy, w niedalekiej przyszłości rozwiąże i ten problem w imię własnego przyszłego dobra.

Bezrobotni stopniowo znikną, a opieka społeczna w swych Ośrodkach rozwinie tak przemyślaną i planową akcję pomocy dla tych nieszczęśliwych, że szkole pozostawi się naturalny bieg jej życia, tj. wychowywanie, nauczanie i danie pomocy moralnej, a materialną zapewni dzieciom Opieka Społeczna.

W. Wróblewska.

Niech każdy robi swoje

Od wezwania, skierowanego przez autora artykułu „Zabierzmy głos w tej sprawie“ w Nr 5 „Współpracy“ upłynęło dość dużo czasu, zanim zdecydowałam się na wypowiedzenie się w kwestii

dożywiania dzieci w szkole, zaopatrywania w odzież, wysyłania na kolonie.

Z trzech zagadnień, postawionych przez autora przy końcu artykułu, dla mnie najważniejsze jest drugie: „Dlaczego mimo polepszenia koniunktury wzrosła liczba dzieci, korzystających z pomocy społecznej".

W moim przekonaniu dlatego tak jest, że pomocy tej udziela społeczeństwo już od 25 lat, tzn. od wybuchu wielkiej wojny europejskiej. Wtedy było to usprawiedliwione działaniami wojennymi, wstrząsem gospodarczym, bezdomnością i brakiem opieki nad wielką gromadą dzieci.

Z nastaniem normalnych pokojowych stosunków pewna liczba dzieci odzyskała rodziców lub krewnych, dzieci poległych znalazły się w odpowiednich zakładach wychowawczych — i właściwie pomoc dla dzieci powinna na tym skończyć się, względnie ograniczyć się do niewielkiej liczby wyjątkowych okoliczności.

Jednakże tak się nie stało, liczba dzieci, potrzebujących opieki społecznej wzrasta z roku na rok. Jaka przyczyna? — Często taka, że ludzie przyzwyczaili się do tego, uważają, że to się tak należy.

Gdybyśmy dalej poszli w tym kierunku, w jakim idziemy, to po drugich 25 latach moglibyśmy spostrzec, że tylko wyjątkowo zamożni i sprężyści ludzie sami dają sobie radę z zaopatrzeniem dzieci we wszystko, co im jest potrzebne. A może po następnych 25 latach powiedzielibyśmy, że w ogóle dzieci powinny być wychowywane „społecznie".

Autor artykułu w Nr 7 „Współpracy" — „Nie upraszczajmy tej sprawy" — twierdzi, że pomoc szkolna może być „rozumiana i okazywana w znaczeniu obowiązku państwa i społeczeństwa względem dziecka, które, osiągnąwszy dojrzałość obywatelską, będzie przecież pociągnięte do świadczeń na rzecz tegoż państwa i społeczeństwa."

Obawiam się, że bliższe są prawdy moje przypuszczenia, niż je wypowiedziałem o kilka wierszy wyżej. Obawiam się, że „dojrzałość obywatelska" w tym nastawieniu wychowanego dziecka sprowadzi się do tego, że swoich dzieci sam wychowywać nie zechce, bo to jest „obowiązek państwa i społeczeństwa".

Wszystkie prawa boskie i ludzkie kazały dotychczas rodzicom, którzy dzieci na świat wydali, wychowywać je i opiekować się nimi. Dzieci uczą się tego w katechizmie, sądy skazują rodziców za wykroczenia dzieci z braku opieki wynikające. Czemużbyśmy teraz mieli iść w innym kierunku?

Jeśli ktoś z rodziców jest tak ubogi czy tak niedołężny, że sam swoim własnym dzieciom nie może dać należytego wyżywienia i zaopatrzenia w odzież, niech sam szuka pomocy u innych ludzi lub w instytucjach Opieki Społecznej. Szkoła nie może i nie powinna wyręczać rodziców. Szkoła ma uczyć, rozwijać w dziecku jego umysł i charakter.

A jakiż charakter rozwinie się w dziecku, które od najmłodszych lat będzie tylko „zapisywało się" na obiady, na buty, na palto, na książki, na kolonie? Czym w jego rozumieniu będzie dom rodzicielski, a czym szkoła? Czy nie dojdzie podświadomie do wniosku, że dom jest właściwie niepotrzebny? Czy doszedłszy do „dojrzałości obywatelskiej" nie usunie ze swoich pragnień i swego życia własnego domu, własnej rodziny?

Myślę, że niebezpiecznym „uproszczeniem" jest dzisiejszy stan szkoły powszechnej, która godzi się na to, że obowiązkiem rodziców jest często tylko tyle, że dziecko do szkoły przyprowadzą.

Zgodzę się z autorem art. „Moja odpowiedź" w Nr 7 „Współpracy", że trzeba rodziców wychowywać. Nie mogę tylko zgodzić się, że w tym kierunku wychowają odczyty. Według mnie wychować mogą tylko wymagania szkoły rodzicom stawiane.

Przez kilkanaście lat pracowałam na jednym z przedmieść Warszawy, wśród ludności ubogiej i chętnej do brania, a opornej do dawania. Wymagałam zawsze od rodziców dużo pod każdym względem. Bywałam czasem ostra i bezwzględna. Z początku niektórzy oburzali się lub próbowali „wykręcać". Ale potem oswoili się z tym, że „pani nikomu nie przepuści", stosowali się do wymagań szkoły, a potem dumni byli z siebie i swojej szkoły. Bo zawsze przecież ludzie więcej cenią to, co ich drożej kosztuje lub w co więcej wysiłku włożą.

Słusznie mówi autor art. „Moja odpowiedź", że „zawsze byli ludzie zamożni i niezamożni i dalej tak będzie", że „niesienie pomocy biednym było koniecznością od dawna i dalej jest koniecznością". Kwestią otwartą jest nadal, kto jest do tego powołany i w jakiej formie.

Myślę jednak, że najmniej powołaną jest szkoła, która ma inne zadania, niż dożywianie dzieci, zaopatrywanie w obuwie, odzież, wysyłanie na kolonie. Jeśli szkoła to robi, to zawsze ze szkodą dla jej istotnych zadań. Zrozumiałym jest chyba, że o tyle mniej energii ludzkiej wypadnie na właściwą pracę szkolną, ile jej użyjemy na inne zadania, na wyręczanie rodziców, Opieki Społecznej, Ubezpieczalni.

A my, nauczyciele chcemy w szkole całą naszą energię skierować na wychowanie i nauczanie, na właściwą funkcję społeczną szkoły. **A. K. D.**

Komisja Delegatów Kierownictw Szkół i Opiek Szkoln. w Stołecznym Komitecie Pomocy Dzieciom i Młodzieży

Na III Walnym Zgromadzeniu Członków Stołecznego Komitetu została powzięta uchwała, aby w celu ściślejszego współdziałania Komitetu z Opiekami Szkolnymi powołać specjalną Komisję, grupującą przedstawicieli Kierownictw Szkół i Opiekunów Głównych. W wyniku tej uchwały Zarząd Stołecznego Komitetu przyjął na posiedzeniu w dniu 31 stycznia 1939 r. odpowiedni regulamin i na jego podstawie ukonstytuował Komisję.

Ważniejsze zasady, dotyczące organizacji i zadań tej Komisji są następujące:

1.

Komisja składa się z 7 kierowników publicznych szkół powszechnych Stolicy i 14 Opiekunów Głównych.

2.

Delegatów zaprasza Stołeczny Komitet w ten sposób, że Kierownicy reprezentują ogół Kierownictw Szkół, a Opiekunowie Główni — poszczególne rejony podinspektorskie (po 2 Opiekunów na każdy rejon).

3.

Na delegatów Kierownictw Szkół zostają zaproszeni w porozumieniu z Inspektorem Szkolnym PP.: Bednarz Jan, Brzozowski Edward, Derlikowski Józef, Dobrowolski Stanisław, Godlewski Czesław, Maciejczyk Marian i Thillowa Elżbieta; delegatów Opiekunów Głównych zaprasza Komitet w porozumieniu z Radą Szkolną.

4.

Komisja Delegatów jest organem opiniodawczym Stołecznego Komitetu, zbierającym się w miarę potrzeby dla omawiania spraw, zgłaszanych przez Prezydium Komitetu; Komisji przysługuje prawo składania opinii z własnej inicjatywy w tych sprawach, które ona uzna za ważne.

Sprawozdanie z zebrania rodzicielskiego w sprawie Pożyczki Obrony Przeciwlotniczej

W wielkiej sali gimnastycznej Szkół Powszechnych przy ulicy Czerniakowskiej 128, dnia 23 kwietnia, odbyło się ogólne zebranie rodziców w sprawie Pożyczki Obrony Przeciwlotniczej.

Na zebranie, zorganizowane z inicjatywy i staraniem Opiek Szkolnych Szkół Powszechnych Nr 62, 93, 186 i 187, przybyło ponad 400 osób.

Przewodniczył Opiekun Główny Szkoły Nr 62 im. Cecylii Śniegockiej, p. Hartman Witold.

Do zebranych przemówił w gorących słowach p. Br. Chróścicki, Prezes Oddziału Grodzkiego m. st. Warszawy Związku Nauczycielstwa Polskiego. Przyjęto następujące rezolucje:

R E Z O L U C J A 1.

Rodzice dzieci, uczęszczających do Szkół Powszechnych Nr 62, 93, 186 i 187, zgromadzeni w dniu 23 kwietnia rb., jednomyślnie postanowili subskrybować Pożyczkę Obrony Przeciwlotniczej w wymiarze dostępnym finansowo dla każdej rodziny oraz zaapelować do wszystkich w sąsiedztwie zamieszkałych o jak najliczniejszy udział w subskrybowaniu Pożyczki Obrony Przeciwlotniczej.

Jednocześnie Rodzice i Opiekunowie z dumą i głębokim zadowoleniem stwierdzają gorące przejawy serdecznego patriotyzmu wśród dziatwy szkolnej, która spontanicznie świadczy na rzecz Pożyczki Obrony Przeciwlotniczej i jest dużym czynnikiem pobudzającym na rzecz tej Pożyczki w domach swych rodziców.

R E Z O L U C J A 2.

Zebrani na ogólnym zgromadzeniu rodzicielskim w dniu 23 kwietnia rb., doceniając wielkie znaczenie dalszego dozbrojenia naszej Armii, składają doraźne ofiary na F.O.N.

W wyniku przyjętej rezolucji zebrano kwotę zł 100 gr. 10, którą niezwłocznie wpłacono. Podkreślić należy, iż do Prezydium pierwszy zgłosił się z ofiarą 5 zł 9-letni Rdzanek Bogusław.

Na zakończenie uczennica kl. VI Szkoły Nr 62, Dercówna Kamila wypowiedziała wiersz poniższego układu:

Jesteśmy silni, zwarci i gotowi!
Przeciwstawimy się każdemu wrogowi.
Wytrwamy, zwyciężymy — nikt nas nie zdobędzie —
Tak oto brzmi hasło w naszym kraju wszędzie!
Choć nad światem wisi straszny wyraz: wojna!
Ojczyzna nasza jest teraz spokojna!
Lecz nie tylko teraz, ale i w przyszłości,
Bo stalowe ptaki strzegą i czuwają nad jej granicami...
Ptaków tych jednakże jeszcze mało mamy.
Lecz aby ich liczba z dnia na dzień wzrastała,
Pożyczka Obrony Przeciwlotniczej powstała.
Do okienek kasowych wszyscy maszerujmy
I pieniądze na Pożyczkę chętnie deklarujmy!

Młodzież szkolna także do apelu staje
I wszystko, co mamy, zawsze Ci oddamy,
Ojczyzno droga! Wiesz, że Cię kochamy
I wszystko co mamy, zawsze Ci oddamy,
Przeciwstawimy się każdemu wrogowi,
Bo jesteśmy silni, zwarci i gotowi!!!

Podał **W. Hartman,** Przewodniczący Opieki Szkolnej.

POD ŚWIATŁO

Do gimnazjum!

— Jakże, prosze pani, uczy się teraz moja Hania?

— Żadnej poprawy: z polskiego — źle, z arytmetyki — źle, resztę ledwo na trójkę umie. Nie będzie mogła przejść do siódmej klasy.

— Proszę pani, ona nie potrzebuje być w siódmej klasie. Oddaje ją do gimnazjum.

— Jak to, z takimi stopniawi?

— E, proszę pani, do prywatnego zda na pewno. Już ja to zrobię. Teraz właśnie wzięłam korepetytora, płacę mu 50 złotych miesięcznie i obiecuje mi, że wszystko będzie dobrze.

— Co? To pani może wydawać tyle pieniędzy na korepetytora i potem na opłaty w gimnazjum? Przecież u nas nie płaciła pani żadnych składek z powodu ubóstwa. Hania była dożywiana w szkole, dostała nawet palto i buty w tym roku.

— O, proszę pani, co innego szkoła powszechna, a co innego gimnazjum. Dziecku niczego nie będę żałować. Trudno będzie, ale przy pomocy Bożej jakoś to będzie.

— Kiedy ona, naprawdę, nie da sobie rady w gimnazjum.

— Da sobie, da: mojej znajomej córka jeszcze gorsze stopnie miała w szkole powszechnej. Teraz chodzi do prywatnego gimnazjum. Nie przeszła co prawda do II klasy, ale już wolę, żeby dziecko pozostało na drugi rok w gimnazjum, niż w szkole powszechnej. Pani dobrze wie, jakie tam otoczenie, a jakie tu u pani.

— Jednak ja pani szczerze radzę, żeby Hania ten rok pozostała jeszcze u nas w szkole.

— Ja wiem, że pani się do niej bardzo przywiązała, bo to anioł nie dziecko, ale myśmy z mężem już postanowili, że damy ją do gimnazjum.

— A czy mąż już ma pracę?

— Gdzież tam! Wszystko na mojej głowie. A pani wie, że z tego prania wiele człowiek nie uzbiera!

— Więc Hania będzie zdawała?

— A tak, tak. Tylko niech jej pani nie poskąpi dobrych stopni, bo przecież to ostatni rok jest w tej szkole.

* * *

— Nie, proszę pani, Wacek stanowczo jest za słaby, żeby mógł zdawać do gimnazjum i jeszcze do państwowego. Na cóż na próżno ojciec ma się denerwować.

— Gdyby pani naprawdę wiedziała, jaki on jest mądry, to by pani postawiła mu lepsze stopnie i mnie radziła inaczej. Będzie zdawał i zda. Już ja wiem, z kim tam pomówić. Mam też znajomego w kuratorium, jednego sanatora. A zresztą mąż mój posiada odznaczenia wojskowe. Nie ja się będę martwiła, nie Wacek, żeby egzamin wypadł dobrze, ale zupełnie kto inny niech sie o to kłopocze.

* * *

— Więc jak jest z tym Wackiem?

— U mnie, panie dyrektorze, ma dwójkę z polskiego.

— U mnie też dwójkę z arytmetyki.

— I u mnie z historii.

— I z geografii.

— Z przyrody również.

— Cóż to znaczy, panowie, koledzy! Skąd się wziął u nas taki nieuk?

— Jak to, nie pamięta p. dyrektor, jakie to osobistości męczyły pana, żeby Wacek był przyjęty?

— Ach, to ten?

— Właśnie....

— Kto następny?

— Jurek Kreśkowski.

— O, tego też pamiętam!

— Dwójka!

— Dwójka!

— I u mnie:

— Następny!

— Ten sam zdawał, bez protekcji.

— Bez dwójki.

— I u mnie.

— I u mnie.

— Tak samo....

— Dziękuję panom, dalszy ciąg posiedzenia rady pedagogicznej — jutro.

Reflektor